

OPLATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁTEM.

WARSZAWA, ŚRODA 25 STYCZNIA 1928 ROKU № 21

PIŁOMIYIK

Tygodnik ilustrowany dla dzieci i młodzieży



LISTY OD REDAKCJI.

DO ZYGMSIA DYLEWSKIEGO W KONSTANCINIE. Czy już umiesz jeździć na rowerze o dwóch kołach, który dostałeś od Tatusia na imiesiny?

DO JOZIA GACKA W KARWINIE. Opisz-że nam dokładnie Waszą nową szkołę.

DO JANKA LITWINA W ZWIERZYNCU. Tak wychwalasz ślizgawkę, a sankowania nie lubisz? Oj tak, z gramatyką to wielka bieda; trzeba wiele pilności i wytrwałości. Mamy nadzieję, że będzie Cię stać na wytrwałość.

DO TEODOZJI SIDORÓWNY W RZESZOWIE. Niestety, nie mogliśmy odpowiedzieć Ci tak szybko, jak sobie tego życzyłaś. Dużo miejsca na okładkach zajęły nam opisy ozdób choinkowych, ale to przed świętami było potrzebne, bo przecież trzeba ubrać choinkę.

DO ANI ROMANIUKÓWNY, ZOSI STEPANIUKÓWNY, M. GRZYWA-CZEWKIEJ I STEFCI MARCZUKÓWNY W CZULCZYCACH. Dziękujemy Wam za ładnie zasuszone liście. Liść klonu trochę się pomarszczył, ale za to białodrzewiu zachował się doskonale. Jest to liść białodrzewiu nadwiślańskiego, zwanego jawrzęcią, bo ma spód ciemno-szary, a nie śnieżysto biały — prawda?

DO WOJCIECHA GRABOWSKIEGO W KOLONJI JOZWIU. To, co nam przysłałaś, to nie są podania. Podania są to opowiadania o dawnych bardzo czasach. To, co napisałaś o lecie i o jesieni — to są opisy, a o św. Stanisławie Kostce — legenda, czyli podanie o życiu jakiegoś świętego. Wszystkie te Twoje utwory są jeszcze bardzo nieudolne.

DO JOZI SCHWEJDRÓWNY W GRÓDKU JAGIELLONSKIM. Czy podczas świąt widziałas jakie jasełka?

DO IRENY POTEŻANKI W ŁODZI. Szkoda, że dotychczas nie opisałaś tej historyjki w obrazkach. Teraz byłoby już istotnie zapóźno.

DO KAROLINY LIPINSKIEJ W WĄGROWCU. Czy zrobiłaś tę grę, której opis podaliśmy?

DO HONORATY BURSZTYNOWICZÓWNY I MARJI KURANÓWNY W MSZCZONOWIE. Ładnie napisałyście „Myśli moje o grobie Nieznanego Żołnierza”.

DO HELENKI STANGRECIAKÓWNY. Gdyby „Płomyk” przychodził częściej, może byłoby to ze szkodą dla lekcyj. Już chyba lepiej, że tylko raz na tydzień macie uciechę.

DO ANTOSI KACPRZYKOWSKIEJ. Czy nie odegraliście „Królowej Zimy”?

DO JANKI ROGUSKIEJ W WARSZAWIE. Staramy się dawać w „Dziale rozrywek” różnego typu zadania.

DO ANTOSIA BIELECKIEGO W WARSZAWIE. Jakże Ci się podobały płomykowe podarunki gwiazdkowe?

DO JANINKI TRYBÓWNY W BIEŻANOWIE. Czy wykonywujecie jakie robótki, których opisy podajemy w „Płomyku”?

DO JASIA RÓJOWSKIEGO W SOBĀNAWICACH. Podajemy w „Płomyku” w dziale p. t. „Co będzie dla Was w Radjo?” program radiowy dla dzieci. Jest tam napisane, którego dnia, o której godzinie jest wygłaszany program dla dzieci i co zawiera.

DO WANDZI WOLDAŃSKIEJ W WARSZAWIE. Masz w „Płomyku” i w „Płomyczku” i inne wierszyki. Jak Ci się one podobają?

DO REGINY GULANKÓWNY W DWIKOZACH. Twój list, w którym napisałaś o zimie, bardzo miły. W Warszawie nie znać tak bardzo zimy: śnieg jest zaraz uprzątany. Niema tylko liści na drzewach, rosnących na ulicach, no i jest zimno.

DO JĘDRKA HINCZA W WARSZAWIE. Znamy Waszą szkołę: jest bardzo ładnie urządzona. Gdybyż to wszystkie dzieci mogły się w takich uczyć, mając piękne sale do nauki przyrody, salę do robót ręcznych, do gimnastyki! Tymczasem w bardzo wielu szkołach po wsiach — ławek poprostu brak.

DO MARJI ADAMCZYKÓWNY W SĘDZISZOWIE. „Żarciki”, które tak Ci się podobały, będą jeszcze drukowane.

DO KL. VI SZKOŁY POWSZ. W SOBOLEWIE. Jakże się powodzi niedawno założonemu „Naszemu Sklepikow”?

DILOMY

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

O wielkim Polaku Antonim Osuchowskim.

Wszystkie dzieci polskie z pod Krakowa czy Lwowa, z nad Niemna, czy z nad Bałtyku wiedzieć powinny, kim był zmarły w styczniu b. r. w Warszawie Antoni Osuchowski. Pracował on bowiem dla całej Polski. Hasłem, celem jego było utrzymanie polskości. Do tego celu dążył niezmordowanie przez całe długie życie. Umarł, mając lat 78.

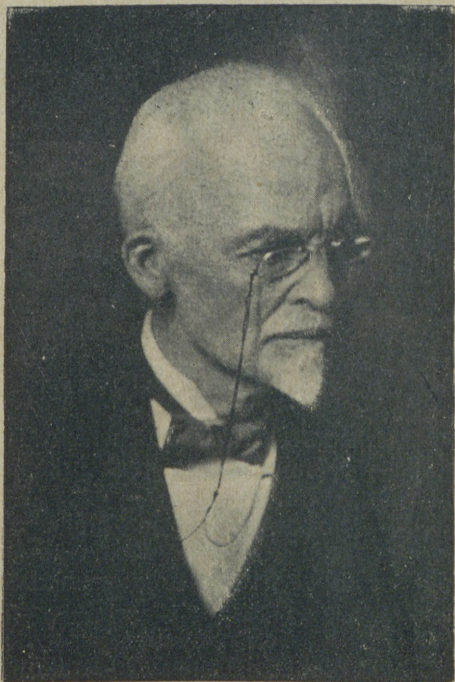
Ukochaniem jego była oświata i kultura. Krzewił ją, wspierał wszędzie, gdzie się zaczynała. Posyłał książki, zakładał czytelnie, szkoły, seminarja nauczycielskie, wydawał pisma, wspomagał kształcącą się młodzież.

Wielkie sumy płynęły przez ręce jego, a były to nie własne kapitały, lecz z niezmiernym trudem uzbierane ofiary. Słusznie nazywano go też „wielkim jałmużnikiem”.

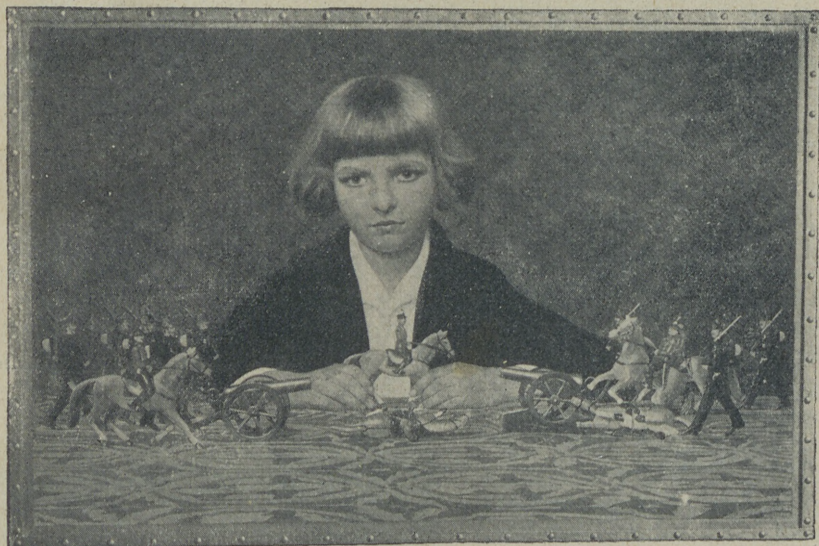
Utrzymanie polskości wśród naszych rodaków, przebywających pod uciskiem niemieckim w Poznańskim, obrona przed wynarodowieniem robotników i rolników polskich, pracujących w kopalniach, fabrykach, wsiach niemieckich, francuskich czy amerykańskich — to wszystko jest w ogromnej mierze dziełem ś. p. Osuchowskiego. Posyłał on do rodaków na obczyźnie książki z trudem zdobywane i z jeszcze większym trudem specjalnie wydawane czasopisma.

Szereg jego zasług uwieńczyło w wolnej ojczyźnie dzieło jego: „Towarzystwo opieki kulturalnej nad Polakami, zamieszkałymi zagranicą”. Prowadzić ono będzie dalej pracę, której z żelazną wytrwałością służył Osuchowski aż do śmierci.

Zofja Findeisenówna.



Ś. P. ANTONI OSUCHOWSKI.



Mal. H. Grombecki.

ZABAWA W WOJSKO.

Obraz z Wystawy Plastyków w Warszawie, odznaczony Nagrodą Rady Ministrów.

Stasiek.

Opowiadanie z czasów powstania 1863 roku.

Dokończenie.

Szare oczy Staśka zaświeciły się nagle.

— A możebym ja pana przeprowadził?

— Potrafisz to?

— Potrafię. Toć ja tutejszy. Całą okolicę tak znam, że i po omacku trafię wszędzie. Małom to się po tych lasach z tatą nachodził, póki jeszcze żyli! Do granicy niedaleko, w godzinę będzie po wszystkim.

Pan Marceli zamyślił się. Wyboru nie miał. Na leśniczówce zostawać było niebezpiecznie. Do Krakowa było mu pilno. Chłopcu dziwnie dobrze z oczu patrzyło.

— Zgoda. A cóż chcesz za to?

— Niby jak? Zaco?

— No, ile pieniędzy chcesz za to, że mnie na tamtą stronę wyprowadzisz?

Chłopcu purpura uderzyła na twarz; przez chwilę niewiadomo było, czy wybuchnie gniewem, czy płaczem, wreszcie rzekł cicho:

— Ja tam od pana nijakich pieniędzy nie wezmę. Przecie pan nasz.

Panu Marcelemu zrobiło się nieswojo. Położył chłopcu rękę na ramieniu, przyciągnął go ku sobie i pocałował w czoło.

— Kiedy wyjdziemy? — spytał.

— Można w dzień, można w nocy. W dzień trudno, bo widno, w nocy — to ci zbóje strasznie gęsto na granicy stoją. Już chyba lepiej w dzień. Krzakami można podejść do samej granicy. Trzeba nam się pośpieszyć, bo pod wieczór najgorzej, nocne obieszczyki¹⁾ już są a dzienne jeszcze niepościągane. Chodźmy. Ale prawda! Jedliście, panie, co? Bo to za granicą znowu lasy i drogi szmat, nim się na ludzi trafi.

— Dziękuję ci, Stachu. Mam w torbie coś nie coś. Chodźmy!

Ruszyli. Zaraz za chałupą skręcili z drogi w gąszcz, na leśne, Stachowi tylko wiadome ścieżki.

Szli dłuższy czas w milczeniu. Nagle Stasiek zatrzymał się i dał panu Marcelemu znak ręką.

— A co tam?

— Nic; jeno już tylko patrzeć, jak się krzaki skończą. Trzeba nam cicho iść i pomału.

Szli tedy dalej, jak cienie. Słońce zniknęło znów za chmurami, zrobiło się posępnie, w lesie prawie ciemno, deszcz jął kropić potrochu.

Nagle stanęli, jak wryci. Nie dalej, jak o sto kroków od nich, mignęła im się przez krzaki konna postać żołnierska.

Byli tuż przy granicy. Szła ona w tem miejscu szeroką polaną, czy też przesieką leśną. Środkiem biegła okopana rowami droga, za nią na galicyjskiej już stronie wznosiło się w oddali niewielkie, krzakami porośnięte wzgórze.

Kozak puścił cugle koniowi, sam oparł się na kulbace i, wydobywszy fajkę z kieszeni, począł ją napychać tytoniem.

Nasi wędrowcy nie odrywali oczu od niego. Fajka nie chciała ciągnąć, kozak, mrużąc coś pod nosem, jął ją czyścić i przetykać.

Stasiek nachylił się do ucha pana Marcelego i szeptał:

— Bieda, panie. Za długo to trwa. Za pół godziny będzie ich tu czterech, nie jeden. Tu niema co czekać. Niech pan tu zostaną, a ja obejdę bokiem i zmanię go do siebie. Zrobi się wtedy tutaj dziura, trzeba się panu wtedy przekraść na ten pagórek. Te krzaki — to już Galicja; jak się pan do nich dostanie, to już niema się czego bać. Idę!

Bez szelestu zniknął Stasiek za krzakiem. Nastąpiła długa chwila ciszy, tak długa, że panu Marcelemu znów zaczęły dziwne podejrzenia do głowy przychodzić.

Nagle z boku w odległości kilkuset kroków rozległ się głośny trzask złamanej gałęzi. Kozak drgnął, schował fajkę do kieszeni i z miejsca prawie ruszył wskok w pogoń za zmykającym ile sił chłopcem. Poprzez gęstwinę widział pan Marceli burą kapotę chłopca, migającą między pniami, widział, jak kozak dopadł do niego i nahajką z całej siły w plecy go uderzył, widział, jak chłopczyna zwałił się od tego razu na ziemię.

Dalej nie patrzył, co się działo: miał dokoła siebie wolną przestrzeń, przed sobą ów zbawczy, porośnięty krzakami pagórek. Zebrał wszystkie siły, rzucił się naprzód, dopadł do przydrożnego rowu. Prze-

¹⁾ Straże.

konawszy się raz jeszcze, że na drodze nie widać nikogo, a kozak zajęty jest chłopcem, ruszył dalej w drogę.

A Stasiek?

Stasiek, trzymany za kołnierz przez kozaka, tłumaczył się nawpół z płaczem:

— Ciele, panie komendancie, ciele mi uciekło. Panie złociutki, niech mnie pan puści, bo mi ono na dobre ucieknie i co ja jutro gospodarzowi powiem? Przecież on mnie skatuje za to!

Kozak nie był rozmowny. Postronkiem związał mu w tył ręce, a ujawszy mocno drugi koniec sznura, pognął chłopca na posterunek, ostremi kopnięciami buta przynaglając go do szybszego chodu.

Biedny Stasiek! Puszczono go wprawdzie na drugi dzień do domu, ale biedak ledwie wstać mógł, tak go wszystko bolało od razów, jakie na posterunku dostał. Sprali dziecko nahajami, nie patrząc, gdzie biją.

Idzie Stasiek przez las, do Mazurowej zagrody, do domu, chwiewie się trochę na ścieżce i za drzewa się rękami chwyta, bo zesłał bardzo, łyżki i obolałe miejsca pociera, od czasu do czasu syknie z bólu, a przecież ile razy sobie pana Marcelego przypomni, to się przez łyżki uśmiecha, prostuje i drobną swoją pięść ku kozackiemu posterunkowi wyciąga:

— Niedoczekanie wasze!

K. Konarski.

Szklane serduszko.

(Z pamiętnika „Płomyczanki”).

Dokończenie.

Któregoś wieczora, leżąc na stole i co chwila przymierzając rozmaite stroje, byłam poprostu olśniona ich bogactwem. Miałam być krakowianką. Spódniczka naszywana wstążeczkami, gorsecik sznurowany, fartuszek, pęki koralik, wstążki haftowane, buciki z czerwonymi tasiemkami. Tyle barw — aż oczy bolały.

Czekałam kilka wieczorów, zanim strój był zupełnie gotowy. Rozumiałam, że jestem piękna. Porównywano mnie ciągle z lalkami „prawdziwymi”, z lalkami „ze sklepu”.

Wiedziałam, że jestem stokroć piękniejsza. Ale nie wiedziałam, jak wygląda ten, któremu mnie oddadzą.

Był czas poobiedni. Wyjęto mnie gwałtownie z szafy, gdzie ciągle leżałam ukryta, i podano bez słowa małemu chłopcu. Nie od razu wyciągnął ręce po mnie. Patrzył na mnie długo wielkimi, błękitnymi oczyma. Po bladej buzi rozlała się barwa, podobna do barwy tego szklanego serduszka, które w tej chwili uwierało mnie silniej, niż zwykle.

— Dla kogo to? — spytał cicho.

— Dla ciebie, syneczku.

Wtedy wziął mnie delikatnie w ciepłe, miękkie rączki dziecięce.

Oglądał mnie starannie i długo. Żaden szczegół ubrania nie uszedł jego uwagi. Potem wpatrzył się czule w moją twarz i powiedział:

— Ma minę, jakby się czegoś wystraszyła, prawda, mamó?

— Tak, bała się pewno siedzieć w ciemnej szafie.

Zaśmieli się oboje. Przytulił mnie do siebie.

— A c h, jakże był inny, niż ten, którego sobie wyobrażała, — westchnęłam z ulgą. Czy nie za wcześnie?

— Jak ona się nazywa?

— P ł o m y c z a n k a.

— Ach, to nie może być przecież imię. Musimy dać jej prawdziwe.

Usiedli o b o k siebie. Szukali imienia dla mnie.

— K a s i e Ń k a? Nie, to za zwyczajne.

— J a g u s i a?.. Może? Nie, nie, Jagusia. Jaga przypomina czarownicę. Nie chcę!

— K r y s i a, B a s i a, Z o s i a, H e l a?

— N i e! T o wszystko jakby jakieś prawdziwe dziewczynki ze szkoły. Ona jest inna!

— Wiesz, mamó, ona będzie Lorcia! Tamta Lorcia z piosenki — dobrze? Ta, co serce kazała zakopać przy drodze!

— Et! jesteś skończony bajdura — odezwał się z drugiego pokoju siwy pan. — Jakie tam ona serce ma? Watę ma w sobie, ot co!

— Ale niech się nazywa Lorcia, mamó?

— Niech się sobie nazywa!

— Ot, masz rezultat napychania dziecku głowy różnemi Lorciami, umierającemi z tęsknoty. Masz skutek obdarowywania go lalkami! Zrobisz z niego rozmazaną babę, a nie mężczyźnę.

— Jego matka jest też babą, ale to wcale nie dowód, że jest



Oglądał mnie starannie i długo.

„rozmazaną” — odcinała się w stronę drugiego pokoju matka mego właściciela.

I nagle, chwyciwszy mnie w ręce, zaczęła się obracać szybko wkoło, śpiewając skocznie jedną ze swych ulubionych piosenek. Mój mały opiekun zerwał się z krzesła, skakał obok matki, starając się mnie wyrwać z jej rąk i krzyczał w niebogłosy:

— Oddaj Lorcie, mamó, oddaj Lorcie!...

Tuż przy nim biegał, zaniepokojony hałasem, pies, poszczekując przeraźliwie raz po raz. Ach, jakież to wszystko było niepodobne do chwili ubiegłej. Jak ci ludzie potrafią się szybko zmieniać! Nagle wyrwał mnie chłopiec z rąk matki, uciekł, trzymając konwulsyjnie w rączkach i potrząsał mną bez pamięci. Warkocze moje splątały się, sznurkom koralu groziło zerwanie.

I oto potoczyło się życie moje pełne dziwnych i sprzecznych chwil.

Uczestniczyłam we wszystkich zabawach. Jeździłam autem, sporządzonem z krzesel, i samolotem z chustki i stołeczka. Siedziałam długie chwile w tramwaju razem z drzemiącym psem, jako dwaj stali pasażerowie. Odbywałam dalekie, piesze wędrówki „naokoło świata”, jako znaleziona w drodze „sierotka”. Wybierałam się ze swym panem na szczyt „Ewerestu” i po złoto do „Alaski”.

Byłam małym dzieckiem, który tylko od „tatusia” weźmie lekarstwo; bywałam też narzeczoną ułana, która go wita po powrocie z wojny.

Byłam „zbląkaną podróżną”, którą ludożerca, wraz ze swym oswojonym lwem, pożerają, i milczącą publicznością we wspaniale urządzonym cyrku. Byłam kolejno żoną wszystkich „misiów”, „małpek” i wreszcie dziką amazonką, jeżdżącą konno na psie, przywiązana przeczornie do jego grzbietu sznurkiem.

Strojów moich nie poznałby nikt. Ale nie żałowałam ich. Byłam taka szczęśliwa! Przeżywałam tak wiele, jak mało która lalka na świecie. Od rana czekałam nowego pomysłu, nowej podróży, lub nowej przygody. Byłam, jak aktor na scenie, występujący w coraz to nowej roli. Piękne miałam życie! Byliśmy stale w trójkę. On, pies i ja. Zналиśmy się doskonale.

Czasami, zmęczeni wrażeniami całego dnia, siadaliśmy wszyscy troje na fotelu za szafą. Wtedy przychodziła matka mojego pana. Śpiewali półgłosem te dawno znane, smętne piosenki ludowe.

Było nam tak dobrze! Aż przyszło złe! Musiało się gdzieś przyznać, że tak nagle spadło. Któregoś ranka, po bardzo niespokojnej nocy usłyszałam zatrzaśnięcie drzwi, a potem złowrobną ciszę.

Tego dnia, ani następnego, ani przez wiele, wiele następnych nie słyszałam znajomego tupotu nóg, nie uczestniczyłam w żadnej zabawie. Mój pan i matka jego zniknęły gdzieś.

Sennie włócił się czas.

Króregoś dnia przyszedł pies. Stał długo nad zabawkami, długo obwąchiwał moją sukienkę, włosy i buzię. Zrozumiałam: szukał śladów rąk naszego wspólnego pana. Westchnął i usiadł ciężko obok mnie. Z kącików jego smutnych oczu sączyła się wilgoć, wargi miał



Westchnął i usiadł ciężko obok mnie.

obwisłe, a za każdym prawie oddechem słycać było stłumiony, żaloszny jęk.

Czekaliśmy teraz razem. Przychodził często. W milczeniu każde myślało o swoim.

I coraz bardziej, coraz częściej uwierało mnie w lewej piersi. Było to nieznośne szkiełko! Wiedziałam, że dokuczać mi będzie.

Dlaczego nie czułam go tak dotkliwie wtedy, gdy byliśmy wszyscy razem? Gdy dni mijały w radości i śpiewie?

Kiedyś milczący pies zdradził się ze swą tajemnicą. Podnosił się na najłżejszy szmer w przedpokoju. Uszy stawiał i czekał. Szelest zawodził oczywiście i wtedy znów kładł się cierpliwie, chwytając każdy głos.

Zrozumiałam! Czeka, wyraźnie czeka! Może wie, że wrócą? Pies jest mądry: on przeżył niejedno pewno rozstanie, a nie traci nadziei, tylko czeka!

Odtąd czekaliśmy razem i nawet tęsknota stała się znośna, gdyby tylko uspokoić czemś można było ten nieznośny ból w lewej piersi.

I nagle, któregoś z nieskończonych dni usłyszałam tupot nóg i znajome głosy. Pies był już przy nich. Leżałam samotnie, czekałam!

Otwarto drzwi. Nade mną nachyliła się twarz mego pana i oczy nasze się spotkały.

O gdybym umiała tak dużo i sprawnie mówić, jak ludzie, nie powiedziałabym mu chyba więcej, niż to wyraziłam spojrzeniem.

— Jakaś ty zakurzona, Lorciu! — zaśmiał się, i nagle obejrzawszy się, jakby w obawie, że ktoś zobaczy, ucałował mnie gorąco w za-

kurzoną buzię... Poczułam okropny i zarazem słodki ból w lewej piersi i usłyszałam, jak coś lekko plusnęło na podłogę. Ból ustał. To moje szkieleto, moje czerwone, szklane serduszko przetarło widać materjał i plusnęło na podłogę.

— Bogu dziękować — pomyślałam, — nie będzie więcej uwierało!—Ale chłopiec podniósł je, obejrzał, sprawdził, że wypadło ze mnie, poszedł z tajemniczą miną do matki i, zezem patrząc na siwego pana, opowiadał jej coś długiego do ucha, nie wypuszczając mnie z objęć.

A potem weszli oboje cichutko do naszego pokoju. Tam włożyli z powrotem serduszko na dawne miejsce, zaszyli drobniutkim ścięgiem ranekę.

Matka mówiła:

— Oto widzisz, jaką dziwną lalką jest Lorcia. Lorcia miała serce i wyskoczyło jej z radości, gdy ciebie po długim rozstaniu ujrzała. Kochaj ją, synku, tak, jak ona ciebie.

Cudny to był wieczór. Nie rozstawaliśmy się na chwilę. Gdy zgasło już światło, gdy zdawało mi się, że drogi mój mały przyjaciel śpi, leżąc przy łóżku jego, na krzeselku, myślałam o swoim szkarłatnym serduszku: nie uwierało mnie już. Wezbrało wielką miłością.

W ciszy rozległ się nagle głosik zaspany:

— Mamo, tyś nie żartowała o tem sercu Lorci, prawda? Bo mnie się nawet zdaje, że słyszę, jak jej to serduszko bije.

— Śpij już, synku, śpij.

Ale w mojej piersi usłyszałam wyraźną odpowiedź dla dziecka:

— Tak - tak, tak - tak — biło moje szkarłatne serduszko mocno i pewnie.

.....

Czy to bajka? Oczywiście, że bajka... a jednak jakaż w niej wielka prawda ukryta!

O gdybyż mogli ludzie uwierzyć w serca, co zbudzą się kiedyś, choćby były z kamienia wykute, jakaż miłością rozgorzałyby świat!

St. Baczyńska.

Śnieg w mieście.

*Jakie to ptaki leciały nad
miastem,
że pogubiły takie srebrne piórka
i wyścieliły nimi aż po wręby
te małe, puste i zimne
podwórka?...*

*Teraz podwórka są, jak gniazdzka
białe,
ulice także porosły piórkami
i całe miasto jest, jak nie to samo
od bramy srebrnej aż do srebrnej
bramy.*

EWA SZELBURG.

Kurka z kokoszką.

Bajka ludowa uscenizowana dla kukielek.

Napisata M. Gerson-Dąbrowska.

Dokończenie.

(BAK wchodzi, jak wyżej. Tańczą. Od strony lasu wbiega w podskokach

ŁYCZEK. Puka do garnka).

ŁYCZEK.

Puk! puk! kto tam tak wywija?

(Taniec ustaje).

KOKOSZKA.

Oho! piękna kompanija!

Kokosz z Kurką w pierwszą parę,

Pan Burczyński ze swą córką...

ŁYCZEK.

Prawdę mówisz?

KOKOSZKA.

Zajrzyj dziurką,

to zobaczysz, niedowiarku!

(ŁYCZEK wspina się na palce i zagląda przez mały otworek).

ŁYCZEK.

Tak sobie tańczycie w garnku?

I mnie proście!

KOKOSZKA.

A ty kto?

ŁYCZEK.

Łyczkiem mnie z pod płota zwał.

Jestem śpiewak wielkiej sławy...

KOKOSZKA.

Pójdź-że z nami do zabawy.

(ŁYCZEK wchodzi, jak wyżej, kłania się, wszystkie tancerki dygają).

ŁYCZEK (do MUCHY):

Z tą panienką pójde w tany,

tancerz ze mnie zawołany.

(Tańczą. Od lasu wbiega MYSZ.

Biegnie prędko, drepcząc dobiega do garnka, puka. Taniec ustaje).

ŁYCZEK.

Któż tam znowu? Kto tu puka?

SKROBACZEK (bojaźliwie):

Ja, Skrobaczek!



ŁYCZEK.

Czego szuka?
Czego chce?

SKROBACZEK.

Tak tu wesoło
tańczujecie... W swoje koło
weźcie i mnie, muszkę, biedną!
Kto jesteście, wszystko jedno
tylko... czy tam niema kota?



KOKOSZKA.

Nie, jest tylko muszka złota,
pan Burczyński, tatko jej,
jest pan Łyczek dobrodziej,
Kokosz z Kurką, dwie sąsiadki...

ŁYCZEK (*kłania się*):

O doprawdy, zespół rzadki!
(SKROBACZEK *wchodzi jak wyżej.*
Tańczą, od strony lasu wbiega ZAJĄC.
Podskakuje, przysiada, nad słuchuje,
ruszając uszami. Podbiega do garnka
i bębni weń łapkami).

PAŃSKI NAJADEK.

Bum! bum! bum! bum!

KOKOSZKA.

Któż to znów?

PAŃSKI NAJADEK.

Kto tam tańczy?

ŁYCZEK.

Bywaj zdrow!
Nie przeszkadzaj.

PAŃSKI NAJADEK.

Bum! bum! bum!
Bum! bum! Rażno tam tańczą,
same nóżki podrygują. (*Podskakuje*).
Kto jesteście?

KOKOSZKA.

Kokosz z Kurką,
Pan Burczyński ze swą córką,
z pod płotu Łyczek—niecnota
i Skrobaczek też z pod płota.
A ty kto?

PAŃSKI NAJADEK.

Pański Najadek.
Straszny miałem dziś wypadek,
już na cel mnie brał myśliwy,
ledwie skryłem się w pokrzywy.

KOKOSZKA.

Toś ty zajac! Pójdź, biedoto,
potańcz-że a z ochotą!
(*ZAJĄC wchodzi j. w. Tańczą. Z lasu*
wybiega LIS — i drapie w garnek).

PAŃSKI UBIOREK.

Skrob! skrob! Ejże, tam wesoło!
Skrob! skrob!

(*Taniec ustaje, LIS zagląda przez*
dziurkę).

Krążą, krążą wkoło...

Kto tam tańczy?

KOKOSZKA.

Kto się pyta?

PAŃSKI UBIOREK.

To ja, lis, Pański Ubiorek!

KOKOSZKA.

A niecnota ty, niesyta
chcesz nas zagryźć?

PAŃSKI UBIOREK.

A, co znów?

Bądźcie pewni waszych głów,
Klnę się na mojego druha,
na psa Burka... Czy kto słucha?
(*Wszyscy tanecznicy, zebrani w gro-*
madkę, naradzają się).

PAŃSKI UBIOREK (*do siebie*):

Jakoś nikt nie odpowiada
i coś długo trwa narada.
Mówcież! Kto tam tak wywijają?

KOKOSZKA.

Ano godna kompanija.
Najprzód — Kokoszka z Kurką,
Pan Burczyński ze swą córką,
Pański Najadek — biedota,
Skrobaczek, Łyczek z pod płota,
Pójdź-że i ty tańczyć z nami,
ino zdala z pazurami!

(LIS wchodzi j. w. Tańczą. Z lasu wychodzi NIEDŹWIEDŹ, obwąchuje łomoczkę KURY i KOKOSZKI, ogląda garnek, dotyka go nosem i łapami, wreszcie uderza łapą w garnek. Taniec ustaje. Tancerzy przyrażeni zbiegają się w jednym kącie — muzyka milknie).

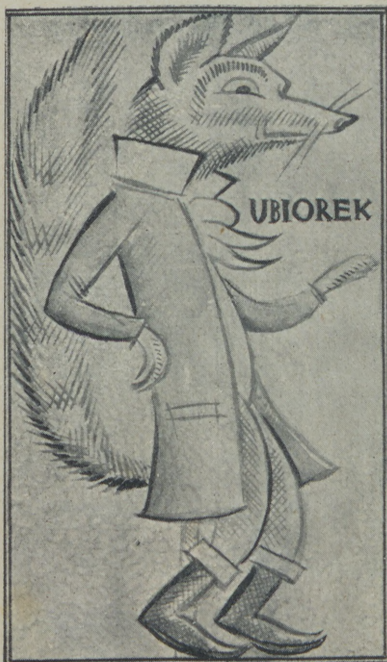
Miś DUSICIEL (grubym głosem):
Kto tu tańczy?

KURKA (drżąc):
Co za głos!

PAŃSKI NAJADEK.
Jaki straszny! Wszystek włos
deba stanął mi na grzbiecie.

MIŚ DUSICIEL (j. w.):
Kto tu tańczy? Odpowiedcie, czy nie?

KOKOSZKA (drżąc, ciekim głosem):
To my:
Kokosz z Kurką,
Pan Burczyński ze swą córką,



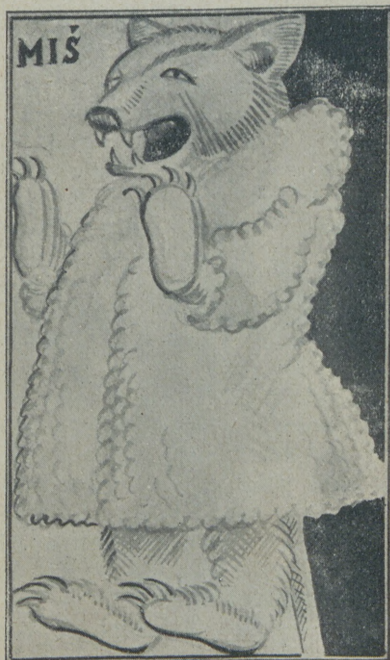
Łyczek, Skrobaczek z pod płota,
Najadek Pański — biedota,
Pański Ubiorek — niecnota...
A ty kto?

MIŚ DUSICIEL.

Uuu! Miś Dusiciel!
Idę z boru, dwa dni suszę,
jestem głodny, zjeść was muszę
wszystkich! Uu! jestem Miś,
na śmierć się gotujcie dziś!

Uderza łapami w garnek, garnek się
rozpada na kawały. Wszyscy się roz-
biegają, krzycząc swoimi głosami —
KURY: kwo! kwo! ŻABA: kum!
kum! i t. d. NIEDŹWIEDŹ nie wie,
kogo pierwej łapać, biegnie w prawo,
biegnie w lewo, wraca i ogląda się.

Wszyscy uciekli, tylko LISEK wraca
i, skrobiąc marchewkę, woła: „Zyg!
zyg! nie udało się, teraz sobie z cie-
bie drwię!” i ucieka. NIEDŹWIEDŹ
siada na ziemi i wyje żałośnie: „Uuu!
Uuu!”



20)

Wesoła gromada.

Opowiadanie z życia szkolnego.

Napisała Janina Porazińska.

XVIII.

I zaczęły się dni pełne radości.

Dzieci wstawały, gdy ledwie zaczynał się świt, aby nie stracić ani jednej chwili krótkiego dnia. Po śniadaniu ruszano na wycieczkę. Po białych, doskonale wyjeżdżonych przez mnóstwo sanek drogach wędrowano do dolin. Cicho tam było, uroczyście. Po bokach olbrzymie śniegi: gięły się pod nimi konary świerków, zwisały ciężko ku ziemi, małeńkie chojaczki, zadęte śniegiem, zdawały się być nakryte „z głową” białym kożuchem, przywalone śniegiem głązy sterczały, jak białe pagórki. Drogi potoków, płynących po dolinach, tworzyły śliczne, jak z przezroczystej koronki obramienia dla wody, płynącej środkiem, wody niestrudzonej, wiecznie żywej, wiecznie pełnej radosnego gwaru, teraz ściszonego lodową ramą.

Pewnego przedpołudnia poszły dzieci do Poronina, dużej wsi górskiej, leżącej obok Zakopanego. Tam mieszkał i tam umarł w swej skromnej, drewnianej chacie wielki poeta polski, Jan Kasprzowicz: tuż, obok tej chaty, na wzgórku nad potokiem wznosi się kapliczka — grób jego.

Bardzo się dzieci cieszyły na ów dzień, gdy były ogłoszone skoki narciarzy. Tak panią dręczyły, że już ruszyła z nimi ku skoczni o dziesiątej rano, chociaż zawody miały się rozpocząć w południe. Jeszcze nikogo nie było z publiczności, gdy przyszli. Tylko szereg żołnierzy na nartach, powiązanych na grubej linie, aby się nie zsunęli w dół, ubijało i równało ostrą pochyłość skoczni.

Ale przecież: „Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje” — zajęli doskonale miejsca, w pierwszym rzędzie, tuż przy barjerze. Wyczekali się długo — ale się doczekali. Zaczęły się zjeżdżać setki sań z gośćmi, setki ludzi sunęło ścieżkami wśród śniegu. U stóp skoczni tłum zwiększał się, roilo się mnóstwo starszych i dzieciaków na nartach, nie zbrakło między nimi nawet małych dziewczuszek. Zaczęli się ludzie wdrapywać na górę, aby lepiej widzieć, wszyscy pchali się ku barjerze — a że góra obmarznięta, śliska, więc zjeżdżali w dół, przewracali się, toczyli po śniegu — tylko śmiechu było wiele.

Na samej górze, w drewnianej łoży siedzieli panowie, którzy kierowali zawodami i ogłaszali ich wyniki.

Nagle stamtąd rozległ się głos. Słyszać go było doskonale, bo huczał przez tubę:

— Oczyszczyć tor! Usunąć się na boki! Publiczność na boki! Zaczynamy!

I w parę chwil potem, gdy już cała pochyłość skoczni i het... szmat pola u jej stóp były zupełnie wolne, ów głos z góry zawołał:

— Pierwszy skok! Krzeptowski, Zakopane!

I naraz zrobiło się tak cicho, jakby na tym wielkim obszarze nie było nikogo, wszystkie oczy wpiły się w szczyt góry. I nagle z za tego szczytu, jak olbrzymi ptak, wyleciał w powietrzu narciarz-skoczek, opisał wielki łuk i spadł na nogi na pochyłość skoczni i lekko, szybko, jak pociąg, w błyskawicznym biegu pojechał w dół, rozpędem wielkim aż za cały tłum ludzi i sanek.

Dopieroż okrzyki publiczności, i brawa i wiwaty!

I tak co kilka minut, zapowiedziany z trybuny, wylatywał z nad góry inny zawodnik i leciał ponad głowami zachwyconych tłumów.

Przez tubę zahuczało z góry nazwisko nowego skoczka:

— Marusarz!

I nagle na dole zakotłowało się, zahuczało. To wszystka zakopiańska dzieciarnia góralska, solidarnie skupiona na dole, teraz też solidarnie i cieszyła się i niepokoiła:

— Morusek będzie skokował!

— Nas! Nas!

— O, dajże mu, Boże! O, dajże!

Cała gromada na dole zwarła się, jakby tem skupieniem ciała chciała mocniej jeszcze zespolić swą wolę, wysyłaną ku temu, który jest przeciw ich dumą i ozdobą.

Z za góry wyleciał, jak wystrzelona kula, drobny, mały chłopaczek i szybował powietrzem, jak ptak, radośnie bijący skrzydłami i lekko opadł na ziemię, a pęd go poniósł, aż skrył się za srebrną kurzawą śniegu.

To był najmłodszy wiekiem skoczek, czternastoletni uczeń szkoły powszechnej. Skok jego był jeden z najdłuższych.

Dopieroż dzieciarnia góralska zaczęła szaleć, a wraz z niemi szalała i nasza gromada, boć oni też szkoła powszechna, to „Morusek” i do nich też należy.

Wieczorem, gdy już nigdzie nie można było iść, bo i ciemno było i nogi zmęczone strasznie ciążyły — dzieciaki wysyłały kartki z widokami gór do swoich, którzy tam w Cichej Wólce zostali. Pani aptekarzowej posłali nawet swoją fotografię na saneczkach.

A po paru dniach żegnali ten najpiękniejszy w Polsce zakątek.

I my Was też żegnamy, kochane dzieci, gromado wesola!

K O N I E C.

Ze sportu.

Narciarstwo.

Sport ten wraz z saneczkowaniem nosi nazwę sportu śniegowego, gdyż może być uprawiany tylko wówczas, gdy ziemia jest pokryta śniegiem.

Najodpowiedniejszym terenem dla narciarstwa są góry wysokie od 1300 — 1900 m.; miejsc takich w Europie jest bardzo dużo, ale pod



START NA BIEŻNI NARCIARSKIEJ.

względem sportowym palmę pierwszeństwa trzyma St. Moritz w Szwajcarii, u nas zaś stolicą sportów zimowych a więc i narciarstwa jest Zakopane.

Sport ten znany był bardzo dawno, bo już w czasach przedchrześcijańskich, jednakże rozwija się u nas dopiero w drugiej połowie XIX wieku i od tej chwili zyskuje coraz więcej zwolenników.

Zobaczymy, jak się przygotowuje narciarz, wybierający się w góry.

Rzeczą pierwszorzędną wagi dla niego są narty, inaczej zwane łyżwami śniegowymi. Jest to rodzaj deseczek z drzewa jesionowego, długich od 150 — 240 cm., szerokich zaś od 6 — 9 cm.; wielkość ich zależy od wzrostu narciarza i od miejsca, na którym będą używane. Przywiązuje się je do nóg za pomocą rzemieni tak silnie, aby najmniejszy ruch nogi mógł się odbijać na nich. Prócz nart potrzebne są także kije, zakończone okrągłymi talerzykami. Służą one albo do przyspieszenia jazdy, lub też przy zjeździe dla hamowania jej szybkości. Prócz tego narciarz musi nałożyć odpowiedni kostium sportowy lekki a jednocześnie ciepły, aby nie przeszkadzał przy jeździe. Musi on również pomyśleć o ciemnych okularach, ponieważ promienie słoneczne, odbijając się o biały śnieg, są niezwykle jaskrawe i działają szkodliwie na wzrok.

Tak ubrany narciarz wybiera się w góry.

Jazda na nartach polega na umiejętności wchodzenia pod górę, zjazdu w dół, oraz zatrzymywania się.

Wchodzi się pod górę w zakosy, inaczej serpentyną, to znaczy linią łamaną, stale idącą ku górze.

Drugi sposób wchodzenia polega na schodkowaniu, zostawiając ślady nart jedno nad drugimi.



W CHWILI SKOKU Z PROGU SKOCZNI.

Im zbrocze jest bardziej strome, tem zakosy musz by czstsze.

Najprzyjemniejszym jednak jest zjeżdżanie z gory, ktore odbywa si wprost lub w zakosy, zależnie od pochyłości gory. Sztuka ta jednak wymaga dużej umiejetnoci i orjentacji, grożac w przeciwnym razie nie-
szczęśliwym wypadkiem, jak przewrocenie si i złamanie rak lub nog.

Należy wspomnie też tu o ważnym dziale sportowym narciarstwa, a mianowicie o skokach na nartach. Wymagaj one jednak fachowych wyjanie, wobec czego ogranicz si tylko tutaj do wzmianki, że do skok koniecznym jest zbudowanie skoczni, jaka już istnieje w Zakopanem i w wikszych orodkach narciarstwa.

Wchodzc na gory i zjeżdżajc z nich, narciarz-sportowiec oddaje si w ten sposb turystyce gorskiej w zimie. Nie mylcie jednak, że narciarstwo uprawiane jest tylko dla przyjemnoci, stanowi ono bowiem ważny srodek komunikacyjny. Tam, gdzie przez kilka miesicy panuje zima mroźna i śnieżna, a wiec na ponocy i w gorach, życie ludzkie musiaoby si ograniczy do zerwania wszelkiej łacznoci z oddalonymi miastami i zacienic w ramach najbliżej położonych wsi — tam narty oddaj wielk przysugę, jako srodek lokomocji.

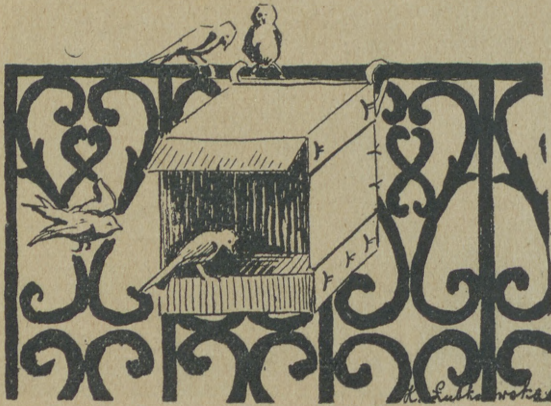
Na zakoczeniu wspomn jeszcze o jeździe na nartach za koniem t. zw. skikjorning. Wymaga on rownego terenu, pokrytego niezbyt grub warstw śniegu, po ktorym biegnie ko, cignc za sob narciarza, ktory kieruje koniem za pomoc dugich lejcow.

Praktycznych celw sport ten jednak nie posiada.

T. Chrapowicki,

Dla ptaszków.

Zapewne każde z Was, dzieci, posiada w domu kilka pudełek tekturowych, nie przyszło jednakże Wam na myśl, że przydać się na coś mogą. Jakże wiele radości i pożytku osiągnąć możecie, mając 3 pudełka i kawałek sznurka!



Codzień wysypiecie zapewne na balkon lub okno ziarno i okruchy. Gdy śniegi upadną, starania Wasze często są bezowocne: śnieg szybko przysypie pożywienie, przez Was wysypane. Aby Wam ułatwić to miłe spełnianie obowiązku względem ptaszków, podajemy rysunek małego domku, który zawieszają się na balkonie

lub oknie, by ochronić pożywienie przed zasypaniem śniegiem.

Bierzemy pudełko bez nakrycia, do którego przymocowujemy z trzech stron kawałki równej wysokości z drugiego pudełka w ten sposób, że w pudełku i ściankach robimy otworki w równej odległości i, przeciągnąwszy przez nie sznurek, związujemy. Gdy spód i ścianki są już gotowe, nakrywamy trzecim pudełkiem w ten sposób, że bok jeden unosi się w górę, tworząc mały daszek.

Przymocowujemy go w ten sam sposób, jak ścianki. Ptaszki, zapewne zdziwione nowością, nie będą miały odrazu zaufania do domku, a zwłaszcza wróbelki, które z natury są bardzo nieufne, lecz w krótkim czasie oswoją się.

St. Cz.

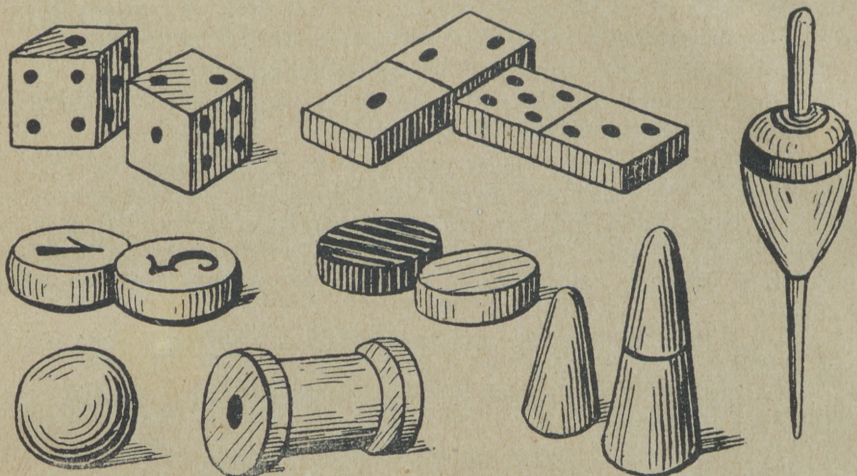
Co można zrobić ze starych korków?

Z korków od butelek i od słoików z musztardą można sporządzać różne drobne przedmioty. Jako narzędzie do tej roboty trzeba mieć ostry szczyrzyk i papier szklisty. Przedmioty, które tu podajemy, wykonywa się wszystkie w podobny sposób, t. j. najpierw wykrawa się szczyrzykiem kształt przedmiotu, a potem wygładza jego powierzchnię papierem szklistym. Po skończeniu można pomalować przedmiot lakierem na dowolny kolor.

Rozpatrzmy wszystkie przedmioty po kolei.

1. — To kostki do gry, małe sześciangi pomalowane na biało z czarnymi punktami.

2. — Domino — wierzch i boki, spód i punkty czarne.



3. — Pionki do loteryjki — kolor dowolny, ale jasny, cyfry czarne.

4. — Pionki do warcabów, jedne czarne, drugie białe.

5. — Kulka dowolnego koloru. Kilkanaście takich różnokolorowych kulek będzie dobrą zabawką dla małych dzieci.

6. — Szpulka do nawijania nici.

7. — Pionki do gry w kręgle, mniejszy zrobiony z jednego kawałka korka, większy z dwóch, spojenych ze sobą ostruganą zapałką i sklejonych syndetikonem.

8. — Bąk — zabawka. Dookoła drewnienka, na którym obsadzone jest korek, nawija się długi sznurek (poniżej korka) i, postawiwszy bąka na podłodze, lewą ręką trzyma się go, a prawą silnie pociąga za sznurek. Wtedy bąk obraca się, zakreśla koła i tańczy po podłodze.

A może sami pomyślicie, co dałoby się jeszcze zrobić z korka?

„L'ami des enfants”.

7)

Staś Kaszuba.

Przygoda szоста: między Starogardem a Grudziądzem.

Przez pierwszą godzinę podróży dzieci rozplaszczają tylko noski o szybę wagonu, wytrzeszczając oczy na umykające w przeciwną, niż one, stronę przedmioty. Co chwilę przytem Staś wykrzykiwał z zachwytem: „Patrz, Pela, krowa”. A Pela powtarzała z uwielbieniem: „Krowa”. „Patrz, to jest prawdziwy las”, „Prawdziwy las”. „Widzisz, tamci ludzie torf kopia”. „Torf kopia” — powtórzyła, oblizując się Pelasia.

Wspomnienie o torcie wzbudziło u Stasia apetyt, przypominając, że z wielkiego zgorączkowania przed drogą, mimo zakłęk mamy i fukań ojca, prawie nic nie zjadł na śniadanie, odszedł więc od okna i przytulił się do mamy:

— Mamusiu, ja głodny... i Pelasia też głodna.

W kilka chwil potem Staś odchodził od matki, trzymając w ręku dwa kawałki chleba, a na każdym piękny kawałek tłustej kury.

— Zawiąż małej serwetkę! — zawołała mama.

Staś odebrał z rąk matki serwetkę, opatrzoną tasiemeczkami i z wielką powagą zawiązał Peli koło szyi.

— Patrz,—mówi!—tę serwetkę to mnie wiązali, gdy byłem mały; tego pieska z chłopczykiem, co go drażni kijem, to ciocia Wańdzia wyszyła, ta sama ciocia Wańdzia, na której wesele jedziemy. Teraz ja fartuszką nie potrzebuję, bo jestem już duży. A na weselu, że będę miał aksamitne ubranie, założę sobie taką wielką serwetę, jak prawdziwi panowie.

— A ja będę miała tę samą serwetkę? — zapytała, trochę płacząc wie Pelasia.

— Pewnie. Zdaje mi się, że mamusia tylko tę jedną zabrała. Ach... Patrz, coś zrobiła!

Pela właśnie ogryzała trzymane udko i nagle okręciła je w ten sposób, że ciemna smuga obtartego sosu z rumianej skórki zarysowała się w całej pełni. Pela, spostrzegłszy to, pobladła, buzię ściągnęła „w ciup” i zaczęła chlipać.

— Czego Pela płacze? — zapytała mama.

— Nic, Pela pobrudziła sobie serwetkę sosem od kury.

— Ha, to będzie w takiej siedziała przy uczcie weselnej, innej nie wzięłam, a gorzej byłoby, gdyby nową sukienkę od pierwszego razu splamiła.

Pela zaniosta się cichym, hamowanym płaczem.

Nagle, tuż za nią rozległy się dźwięki skocznej muzyki. To dryblas jakiś stanął we drzwiach i na czerniałych, lichych skrzypcach jał wygrywać wesołego oberka. Za grajkciem wsunęli się dwaj chłopcy, małe co więksi od Stasia i, objąwszy się wpół, jeli wywijać w kółko, rażno przytupując, w przejściu między ławkami, na których prócz państwa oberżystów ze Stugębina, było tylko jeszcze jedno młode i wesołe małżeństwo. Wszystkie twarze się rozjaśniły.

— No, Stachu, bierz Pelkę i dalej w tany! — wołał ojciec. I zaraz, przytupując do taktu, przyśpiewywał:

— Tańcował Kuba i jego luba!

Tak się cieszyli, hop! hop! hop!

Wesoło zrobiło się w wagonie.

W Grudziądzu zapuszczono się w długą, rzadko zabudowaną ulicę, prowadzącą do centrum. Staś uchwycił za rękę ojca i ciągle dopytywał, gdzie tu jest „sklep z farbami”, dostał bowiem od babuni 2 zł. na kupienie sobie czegoś w Grudziądzu i postanowił, że to będzie pudełeczko z 12 farbami i pendzelkiem. Zanim jednak ojciec spełnił jego życzenie, udano się, z głównej racji przerwania podróży w Grudziądzu, do magazynu gotowych ubrań dziecięcych, aby kupić białą sukienkę dla Pelasi. Nie poszło to prędko. Znudzony Stasinek jał przechadzać się po sklepie, przyglądając się manekinom, przedstawiającym pięknie ubra-

nych chłopców i dziewczynki. Nagle zatrzymał się i zastanowił głęboko. Przed lalką, ubraną za niemowlę, leżała serwetka z tasiemkami, ozdobiona u dołu haftem, przedstawiającym szereg czerwonych maczków. Staś skoczył do mamy.

— Mamusiu, tu są sewetki „do jedzenia” i takie śliczne! Niech mama kupi dla Pelasi.

— Kup sam! — rzuciła mamusia, chcąc się go narazie pozbyć.

Staś się rozpromienił, zawrócił, odbiegł w drugi koniec sklepu, schwycił ze stołu serwetkę i obejrzał się za siebie; spotkał się z surowym spojrzeniem jakiejś panny i ostrem: „Czemu to bierzesz?”

— Bo ja to kupię — odrzekł rezolutnie.

— A pieniądze masz?

Sięgnął do małej kieszonki, z której wyglądała zczerniała dewizka od dawno zepsutego zegarka, kupionego za 50 gr. na jarmarku i wydobył dwuzłotówkę. Panna spojrzała na przypiętą kartkę z ceną i skrzywiła się.

— Nie masz więcej?

— Nie, babcia mi tyle dała... Na farby — dodał objaśniająco.

— To zamało, ta serwetka kosztuje 2 zł. 50 gr. Weź tę, ta kosztuje w sam raz tyle, ile posiadasz.

I podała mu inną ze stołu. Ale Staś ledwie rzucił na nią okiem, zawołał z pogardą:

— Fe, ze świnką!.. Ja chcę dla mojej siostrzyczki z kwiatkami!

Ponura twarz sprzedającej paniENKI rozjaśniła się uśmiechem. Okrzyk chłopca zwrócił nań uwagę dwóch jeszcze sprzedających i samej pani właścicielki, wystrojonej, jak z żurnalu.

— Niech-że mu pani odda za 2 zł. — wesoło powiedziała właścicielka... A niech pani nie zapomni dołożyć mu kartki na balon. Przecież taki „rabat” dajemy każdemu kupującemu za każdy sprawunek!

Mama właśnie odbierała już z pakowni pudło z sukienką i dwa balony, gdy ogarnął ją niepokój, co się robi ze Stasiem, ale w tejże chwili ujrzała go biegnącego z głębi sklepu, także z balonem i paczuszką w ręku.

— Pelasia, masz serwetkę!... A balon będzie dla nas obojga.— Sta-
nął, patrząc zachwyconemi oczami na dwie olbrzymie kule, chwiałe się na nitce ponad głową mamusi.

— Oddaj ten balon, bo i tak macie dwa.

— Och! mamusiu... to mój własny r a b a t.

— Nie dał sobie wyperswadować. Ale przy wyjściu na ulicę mama zwróciła uwagę na stojącego wśród grupy dzieci wymizerowanego chłopczyka, mniejszego od niego.

— Daj temu dziecku, on po to tu stoi, ufny, że go ktoś uszczęśliwi balonem... Patrz, on taki mizerny, tak biednie ubrany.

Staś badawczo popatrzył w twarz malca, na której malował się najwyższy niepokój i wyczekiwanie.

— Masz! — zawołał, podając mu balon i zaraz podskoczył, klaszcząc w ręce, jak zwykł czynić w chwilach największej radości.

M. Bogustawska.

O Książkach



Nesbit. POSZUKIWACZE SKARBÓW, Tow. Wyd. w Warszawie. *Nesbit.* PRZYGODY MŁODYCH BASTABLÓW, II tomy Warsz. Tow. Wyd. Biblioteczka. DOBRE KSIĄŻKI DLA MŁODZIEŻY. Cena jednego tomu 1 zł.

Coby było, gdyby wszystkie zamiary dziecinne wprowadzić w czyn? Działyby się takie niesłychane rzeczy, jakie się działy w rodzinie Bastablów. Ta gromadka, złożona z sześciorga pozbawionych opieki dzieci, ma tysiące szalonych pomysłów, które z wielką energią wprowadza w czyn. Ileż te dzieci mają kłopotów i jakie śmieszne wyprawiają się historie! Kto się chce z przygodami tej miłej szóstki zapoznać, niech najpierw przeczyta „Poszukiwaczy Skarbu”, a potem dwa małe tomiki przygód młodych Bastablów. Chciałoby się chwilami gniewać na te szalone dzieci, ale cóż? — wszystko, co robią, płynie z najszlachetniejszych pobudek. Kiedy zamykamy książkę, żałujemy, że znamy te dzieci tylko z jej kartek, że nie spotykamy się z nimi w życiu, takie to są miłe, zacie i wesołe dzieciaki.

Sokołowska Zofja. ZAKŁĘTY MŁYN. (Księg. Św. Wojciecha). Rok 1918, okolica Mińska, młyn, który uchodzi za zaczarowany... a w tym młynie znajdują schronienie zapasy amunicji dla polskich oddziałów, kryją się tam osoby ze dworu przed niebezpieczeństwem wojny. Dwaj chłopcy, „opiekujący” się tym zaklętym młynem, biorą udział w walkach i są świadkami chwili, gdy Polacy opanowali Mińsk.

Odmrożenie.

Kasia ma ręce całe spuchnięte, czerwone, Józka Źszy palą i bardzo bołą, gdy ze dworu przyjdzie i w ciepłej izbie posiedzi. A no, z zimą żartów niema; trzeba samemu bardzo uważać, mocno rozcierać zgrabiwały nos, uszy i ręce przed wejściem do ciepłej izby, można nawet i śniegiem natrzeć, jeśli się spostrzeże, że policzki, albo palce „zbielały” na mrozie — wtedy napewno żadnej biedy i bólu nie będzie.

Tylko pamiętajcie, nigdy nie rozgrzewajcie zziębniętych rąk i twarzy przy gorącym piecu — wtedy odmrożenie pewne.

Nie wychodźcie na mróz z mokremi rękami.

Jeśli macie odmrożone ręce lub nogi, to po każdym umyciu trzeba je bardzo starannie wycierać, by nie były wilgotne, a jeśli można, nacierać je spirytusem, przed spaniem dobrze też jest posmarować bolesne miejsca tłuszczem np. masłem.



ZBLISKA I ZDALEKA

NOWY GMACH CHEMICZNEGO INSTYTUTU BADAWCZEGO W WARSZAWIE. Dnia 14 stycznia b. r. ks. kardynał Kakowski dokonał poświęcenia nowego gmachu Chemicznego Instytutu Badawczego w Warszawie na Żoliborzu. Pierwszym zaczątkiem Instytutu był instytut pod nazwą „Metan”, założony przez obecnego naszego Prezydenta, wówczas prof. Mościckiego. Obecnie najbliższą pracą Instytutu (w pracy tej bierze udział Pan Prezydent) będzie badanie możliwości otrzymania w Polsce metalu, zwanego glinem (aluminium) oraz badania nad różnymi gatunkami węgla polskiego. Instytut będzie przeprowadzał prace, mające wielkie znaczenie dla przemysłu (badanie węgla, ropy naftowej) i dla rolnictwa (nawozy sztuczne).

ZAWODY NARCIARSKIE W ZAKOPANEM. 12 b. m. odbyły się w Zakopanem zawody narciarskie, przyczem w biegu na 18 klm. zwyciężył Szostak, a w biegu na 30 klm. — J. Krzeptowski II.



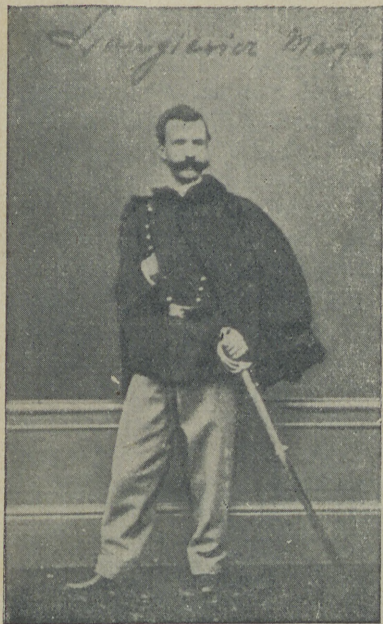
Fot. J. Ryś.

KRÓL MIGDAŁOWY.

W d. 6 stycznia, w święto Trzech Króli w sali Towarzystwa Cyklistów odbyła się dla dzieci zabawa pod nazwą „Król Migdałowy”. „Królem” i „Królową” zostały te dzieci, które w pośród mnóstwa ciastek trafiły na jedyne dwa ciasteczka, zawierające po migdale.

Co u nas słyhać.

KOCHANY „PŁOMYKU”!



Zbliża się uroczysta rocznica Powstania Styczniowego, w którym Marjan Langiewicz odniósł pod Wąchockiem zwycięstwo nad Moskalami. W naszym miasteczku miał on swą kwaterę.

Co roku obchodzi nasza szkoła uroczyste tę pamiątkę.

W tym roku ufundowali p. p. Nauczyciele i dzieci szkolne marmurową tablicę. Na tablicy tej jest napis: „Bohaterom 1863 r.”. Wmurowano ją w naszym kościele.

W tym więc roku obchodzić będziemy tę pamiątkę jeszcze uroczystej.

Po nabożeństwie i poświęceniu tej tablicy odbędzie się poranek, na który Cię, kochany nasz Przyjacielu, zapraszamy.

Równocześnie przysyłamy Ci fotografię M. Langiewicza, którą zdobyliśmy, i prosimy, abyś ją umieścił w „Płomyku”.

Chcemy, żeby i inne dzieci zobaczyły, jak wyglądał jeden z naszych bohaterów, walczących o utraconą wolność ojczyzny.

Pozdrawiamy Cię.

Gmina uczniowska szkoły powsz. w Wąchocku.

KOCHANY „PŁOMYKU”!

Posyłamy Ci kredę, wydobytą z ziemi około naszej wioski. To pudełko w którym przesyłamy kredę, zrobili nasi koledzy: Jan Weronia i Wójtowicz Grzegorz.

A skąd się wzięła kreda, to my wiemy, bo pan mówił na lekcji przyrody, i nasza koleżanka Agnieszka Waszczyńska to poniżej opisała:

Kreda powstała ze skorupki malutkich zwierzątek. Na kredzie widzimy bardzo ładne odciski. Kredę przygniatała ziemia i dlatego są na niej odciski. Kreda jest bardzo pożyteczna.

Z kredy wyrabiają kolorowe kredki i farby. Z ziemi kreda wydobywała się olbrzymimi bryłami. W kredzie mieści się gaz węglowy. Pan nauczyciel pokazał nam, w jaki sposób wydobywa się gaz z kredy. Leje się kwas octowy na nią, wtedy zaczyna robić się na niej piana.

Dzieci szkolne ze wsi Czółczyce.

(10 klm. od Chełma).

KOCHANY „PŁOMYKU”!

Pierwszy raz dopiero piszę do Ciebie. Święto sadzenia drzewek, które obchodziliśmy w naszej szkole, tak miłe zostawiło mi wspomnienia, że pragnę się nimi z Tobą podzielić.



Uroczystość tę obchodziliśmy 26 października b. r. Choć dzień nie był jasny, ale w duszy było tak wesoło, słonecznie, że i dzień zdawał się być piękniejszy. Ponieważ wiedzieliśmy już na kilka dni naprzód o tem święcie, więc w oznaczony dzień przyszliśmy do szkoły bez książek. O godz. 9-ej odbyła się msza św., na której śpiewaliśmy. Po mszy św. zgromadziliśmy się wszyscy przed figurą św. Wincentego, u stóp której złożone były drzewka. W obecności wszystkich pp. nauczycieli, zgromadzonych gości i dzieci szkolnych ksiądz dopełnił ceremonii poświęcenia drzewek. Potem w pięknych słowach powiedział nam, jak trzeba drzewka kochać i pielęgnować. Po przemówieniu, na dany znak, podźwignęliśmy drzewka i zasadziliśmy je wzdłuż szosy tak, jak nam polecono.

Mamy kilka zdjęć fotograficznych z dnia tego. Jedną fotografię przesyłamy drogiemu „Płomykowi” z prośbą o umieszczenie jej na swych kartach.

*Czytelniczka Twa Zofja Nieszynówna — uczenica kl. VI-ej
Szkoły w Jędrzejowie.*

KOCHANY „PŁOMYKU”!

Już od roku zbierałem się napisać do Ciebie, kochany „Płomyku”, ale zawsze coś stanęło mi na przeszkodzie. „Płomyk” bardzo mi się podoba. Mieszkam we wsi Czarnca, która kiedyś była własnością Stefana Czarnieckiego. W podziemiach naszego kościoła leżą prochy jego. Kościół, o którym wspominam, wybudował Stefan Czarniecki. W kościele tym są po nim pamiątki: obrazek, z którym się nigdy nie rozstawał, kapa, zrobiona z czapraka, zdobytego na Karolu Gustawie i wiele drobniejszych.

Przesyłam kochanemu „Płomykowi” serdeczne uściśnienia.

Tadeusz Sowiński, ucz. kl. III-ej,



W KSIĘGARNI.

- Proszę pana dla mojej koleżanki o wprawki na fortepian.
- Na dwie, czy na cztery ręce?
- No, przecież moja koleżanka ma dwie ręce!

U FOTOGRAFA.

- Proszę pana, ile kosztuje tuzin fotografii?
- Pierwszy dziesięć złotych, każdy następny po sześć.
- To proszę ten drugi, za sześć.

CIERPLIWY CZŁOWIEK.

- Na cóż pan tu czekasz, zamiast iść do mieszkania?
- Proszę pana posterunkowego, zginął mi klucz od mieszkania w śniegu, więc czekam na odwilż, to go może odnajdę.

Dział rozrywek.

Ł A M I G Ł Ó W K A.

Nadesłały: K. Koropajkówna i I. Bednarówna.

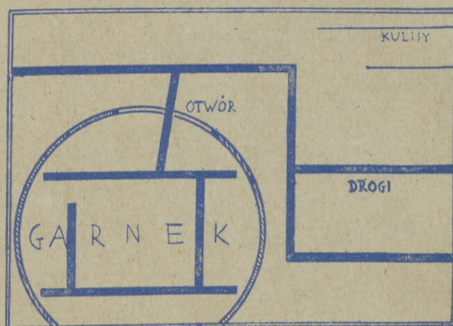
1	X					
2	X					
3	X					
4	X					
5	X					
6	X					
7	X					
8	X					
9	X					
10	X					
11	X					

Litery początkowe wyrazów, wstawionych w kratki z krzyżykami, dadzą pierwszą literę imienia i nazwisko poetki polskiej.

Wyrazy: 1) imię męskie, 2) zwierzę domowe, 3) część domu, 4) część twarzy, 5) zaimek, 6) litera, 7) wykrzyknik, 8) rzeka w Niemczech, 9) korek od beczki, 10) papier do kopjowania, 11) owoc południowy.

OBJAŚNIENIE DO OBRAZKA SCENICZNEGO „KURKA Z KOKOSZKĄ”.

Urządzenie sceny do „KURKI z KOKOSZKĄ” — przedstawia w jednej połowie wnętrze wielkiego garnka, odwróconego dnem do góry, i jakby przeciętego, aby widać było wnętrze. Brzegi przecięte dotykają brzegów scenki. W głębi garnka otwór z dopasowaną skorupą, która go zamyka. Otworem wchodzą postacie bajki. Powierzchnia garnka mogłaby być błyszcząca, np. brązowa.



Druga połowa sceny wyobraża zarośla, zielone krzewy, które można wymalować na tekturkach, dodając naturalnie mchy i drobne kwiatki, np. wrzosey. Szpary w podłodze trzeba wyciąć tak, żeby lalki mogły się ruszać i chodzić odpowiednio do treści bajki. Dekoracja tylna wyobraża głąb lasu.

Ubiory *KURKI* i *KOKOSZKI* — ludowe, np. łowieckie, kujawskie i t. p.. Cała część tylna ubrania naszyta prawdziwymi piórkami, główki ptasie, u rąk skrzydła z piórek. *MUCHA* — dziewczynka w krótkiej czarnej sukience, naszytej złotymi cekinkami (blaszki metalowe). Główna główka przezroczyste skrzydełka. *BAK* — gruby, brzuchaty, w kamizelce w czarnej i żółtej szerokie pasy. Kubrak i spodnie czarne aksamitne, długie buty. Skrzydła i głowa, jak u Muchy. *ŻABA* — zielony frak i także obcisłe spodnie, żółta kamizelka. Głowa żaby z wielkimi oczami, długie palce u łapek. *MYSZ* — w szarym, długim kaftanie z futerka lub aksamitu. Łapki różowe. Główna z uszkami czarnymi i wąsami. Długi ogon. *ZAJĄC* — podobnie zrobiony, jak Mysz, barwy szaro-żółtawej. Białe, krótki ogonek — bardzo długie uszy, ruszające się. Nogi przygięte, jak do skoku. *LIS* — w rudym surducie i białej kamizelce, puszysty ogon. Pyszczyk lisi, nogi czarne. *NIEDŹWIEDZ* w szubie brunatnej, także spodnie — pazury u łap. Pysk otwarty z białymi kłami.

Jak i z czego zrobić garnek i lalki — jak je dostosować do scenki kukielek — pouczą rysunki.

M. G. D.

ZAKOŃCZENIE „TURNIEJU ROZRYWKOWEGO”.

W dalszym ciągu podajemy listę naszych Czytelników, którzy wzięli udział w „Turnieju Rozrywkowym”.

6 punktów osiągnęli: Hanke Zygmunt, Warszawa; Pękalski Piotr, Cmielów; Wajnwurcelówna R., Ostrowiec; Syrek Władysław, Chelmska; IV oddz. szk. powsz., Mnichowo; Krzymuska Jasia, Kalisz; Tulewiczówna Nora (?); Zacharówna Marysia (?); V oddz. szk. powsz., Brzeszcze; Nowacka M., Konarskie; Siwczyński Jurek, Podgórze; Dziedzicówna St., Warszawa; Rotklein T., Warszawa; Kraszewski Romuald, Nowe Miasto.

5 punktów osiągnęli: Kenig Stanisława, Garwolin; Bobrowski Stanisław, Rajgród; Grabiec Albin, Rybnik; Morze Jurek, Kobryń; Szumańska Hanuśka, Warszawa; Ostrowscy Julian i Ludomir, Żegiestów; Baliński Zygmunt, Łask; Holtzówna Hala, Oliwa; Truszkowska Zochna, Piotrków Trybunalski; Malczyk Zbigniew, Dwikozy; Markiewiczówna Janina, Trzebinia; Karlińska Marysia, Dobrenice.

4 punkty osiągnęli: Korczyński Wojtuś, Gołaszyn; Kurczówna Krysia, Jarosław; Sakowska Władysława, Dębice; Ryteł Ludwik, Siedlce; Spialkówna Helena, Stanisławów; Kwiatek Jerzy, Łańcut; Jakubik Jan, Warszawa; Biesiadowska Grażyna, Pszów; Czyżykówna Romana, Warszawa; Komornik Adaś, Dobromil.

3 punkty osiągnęli: Stępiński Janusz, Chelm; Jaworska Jadwiga, Toruń; Dembowski Wilhelm, Bolcieniki; Kempieński Roman, Dąbrowa; Zawiślanka Danusia, Kobryń; Cislowski Tadek, Włoszczowa; Cislowski Staś, Włoszczowa; Robińska Jadwiga, Żnin; Korczyński Michaś, Lwów; Bednarska Stanisława, Włocławek; Gulbinowicz Edward, Mołodeczno; Szkoła powszechna, Wodzierady; Kamińska Lila, Wolkowysk; Wieczorkówna Marja, Wilczno; Wolkowicki Tadzik, Niewiadów; Stępieniówna Jadwiga, Ujazd; Kulaszewicz Franciszek, Skrzyszew; Fraczevska Helena, Jarosław; Szczepański Tadeusz, Bydgoszcz; Mauzerówna Jadwiga, Ozorków; Stefan Waluś, Tarnów; Kalis A., Marjanka; Zawiszówna Natalia, Staszów; Sadurówna Helena, Zajezerze; Łęczyński Kazimierz, Radziechów; Pawłowski Lech, Będzin; Ciesiołkiewicz Jan, Warszawa; Simon C., Warszawa; Landau N., Radom; Budkiewicz Władysław, Wilno; Mayzel J., Warszawa; Schmidt Jurek, Pułtusk; Łopacki Tadeusz, Włocławek; Landau Jrzy, Warszawa; Pawęcka M., Wolkowysk; Gąsiorowska Anulka, Sromowce Wyżne; Korman Zygmunt, Brzesko; Dębski Janusz, Warszawa; Brydakówny Marja i Zofja, Rzeszów; Ginterówna Helena, Ostrzeszów; Silbiger Stefan, Tarnów; Chmiel Piotr, Szydłówek; VI-a oddz. szk. powsz., Gródek Jagielloński; Śmierciak St., Nowy Sącz; Mazur Józef, Łopiennik Górny; Baranowska Alina, Krasnystaw; Cebulak T., Wysoka; Gallusówna H., Pabjanice; Czajkowski Bohdan, Kutno; Lautner Herbert, Borysław; Znamierowski Wojtuś, Czerniewice; Wójcikówna Sławcia, Puławy; Rolnik Krzysztof, Radom; VII oddz. szk. powsz., Sarnowa; Kryński Jakób, Białystok; Joszt Mieczysław, Drohobycz; Rymaszewscy Zbyś i Zosia (?); Koroś Jan, Łochów; Plutówna Marysia, Zator; Czarnota Jan, Kołomyja; IV oddz. szk. powsz., Radzanów; III klasa szk. przyg., Kościan; Baselidesówny M. i Z. (?); Jaskólska Walerja, Karkowice; Karkowska Krystyna, Garbatka; Eljas L., Pińsk; Kieźuń Zbyszek, Wilno; Pietrowówna H., Dubno; Seweryniówna Stacha, Krosno; Lewków Franciszek, Doszawa; Ceceniowski Janeczek, Bałtów; Krzyżanowski Kazimierz, Przemysł; Pawłowska Marysia, Gotartowice; Marzecka Ala, Warszawa; Kryczyńska Marysia, Skierniewice; Zacharczukówna Marysia, Skierniewice; O'Brien de Lacy Irenka, Grodno; Reuttówna Marja, Pińsk; Borchólski Mieczysław, Kielce; Smosarska Basia, Kazimierz; Szkoła powszechna, Chrząższeń; Arciuch Edward, Kantorówka; Srokosz Julian, Zablocie.

Do niniejszego numeru, jako ostatniego w I półroczu naszego wydawnictwa, dodajemy spis rzeczy.

Załączamy również blankiet nadawczy P. K. O. z prośbą o wnoszenie dalszej prenumeraty.

WARUNKI PRENUMERATY:

„Płomyk”	miesięcznie 1 zł. 50 gr. — za cały rok szkolny 14 zł.
„Płomyczek”	„ 1 zł. — „ „ „ „ 9 zł.
„Płomyk” z „Płomyczkiem”	miesięcznie 2 zł. — „ „ „ „ 18 zł.

Ceny obliczone z kosztami przesyłki.

Numer pojedynczy: „Płomyka” — 40 gr., „Płomyczka” — 25 gr.,
„Płomyka” z „Płomyczkiem” — 50 gr.

Adres redakcji i administracji: Warszawa, ul. Świętokrzyska № 18.

№ telefonu 322-18.

Konto czekowe P. K. O. № 6880.

Redaktorka przyjmuje od g. 1 do 3, prócz wtorków i sobót.

Administracja otwarta codziennie od godz. 9 rano do 7 wiecz. Prenumeratę przyjmuje oprócz administracji „Nasza Księgarnia” — ul. Widok 22 i Związek Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych — ul. Marszałkowska № 123.

Wydawca: w imieniu Związku Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych —
JÓZEF WŁODARSKI. Redaktorka — HELENA RADWANOWA.

Zakłady Graficzne „NASZA DRUKARNIA”, Warszawa, Sienna 15.